

Dotyczy każdego z nas

Nareszcie serio o higienie psychicznej

W dniach 16—18 bm. odbył się w Warszawie zjazd naukowców i lekarzy z całego kraju przy współudziale gości z zagranicy, celem przedyskutowania potrzeb i opracowania wytycznych dla nadchodzącego roku 1960, który ma być ogłoszony „Międzynarodowym Rokiem Higieny Psychicznej”.

W czasie trzydniowych obrad omówiono szereg zagadnień z zakresu historii i rozwoju higieny i psychiatrii dziecięcej w kraju i za granicą oraz konieczność rozwoju wymienionych dyscyplin (prof. dr J. Chałasiński); ustalono zadania i kierunek rozwoju higieny psychicznej w Polsce w poszczególnych dziedzinach życia, a więc: w przemyśle (mgr Zdz. Kowalewski), rodzinie i szkole (prof. dr J. Koponicki); podzielono się do świadczeń z terenów służby zdrowia (prof. dr M. Demiańska); z zakładów klinicznych z granicą (Prim dr An. Rett i dr Paul Spindler z Wiednia) i w kraju (dr St. Wawrzyńczyk) oraz zgłoszono szereg wniosków do rozpatrzenia i wprowadzenia w życie (prof. dr K. Dąbrowski, dr Z. Szymańska, dr A. Drath i inni). Zagadnienia, które po dziesięciu latach przerwy znów doczekały się publicznych obrad i dyskusji, dojrzały obecnie do rozwiązania.

Statystyki z całego świata sygnalizują coraz bardziej nasilenie zaburzeń psychicznych, będących wynikiem aktualnie działających warunków życia, które stały się jednym z zasadniczych problemów epoki.

Badania socjologiczne dowiodły istnienia ścisłej współzależności między wynikami pracy a równowagą psychiczną pracującego. Wykazały one, że czynnik „ludzki” — psychospołeczne warunki pracy są nie mniej ważne niż jej warunki techniczne.

Zwłaszcza w naszym kraju walka o efekty gospodarcze winna iść w parze z dbałością o psychospołeczne warunki pracy, które — przez zapewnienie pracującemu osobistego zadowolenia z pracy — są nie mniej ważne niż jej kierunek rozwoju twórczych sił jednostki.

Podobnie u podstaw ogromnej ilości zaburzeń w zachowaniu dzieci, znanych pod wieloznaczną nazwą „trudności wychowawczych”, leżą te czy inne niepowodzenia w nauce szkolnej. Jednym ze sposobów profilaktyki jest niedopuszczenie do pojawienia się tego niepowodzenia (frustracji). Przypadki te winny być w porę ujawnione i kierowane na właściwą drogę, gdyż nieodkryte doprowadzić mogą do wykoślenia.

Ze względu na fakt, że dzieci opóźnione w rozwoju umysłowym nie mogą sprostać w rywalizacji z dziećmi normalnie się rozwijającymi, zadaniem wychowawców jest danie dzieciom ze stwierdzonymi objawami „ociekłości umysłowej” umiejętności, które spowodują zaufanie ich we własne siły. Takie metody były stosowane eksperymentalnie w Anglii (Leicester) i przyniosły dobre wyniki.

Wiele uwagi poświęcono wpływowi środowiska na losy dziecka, którego rozwój ulega niejednokrotnie olbrzymim zaburzeniom na skutek niewłaściwych warunków domowych (alkoholizm, niemożność w środowiskach rodzinnych, nieuleczalne choroby). Profilaktyka w tej dziedzinie polegać winna na wykrywaniu destrukcyjnych czynników wychowawczych, które nakazują zabrać i przejąć dziecko do specjalnych domów lub wychowywać je w rodzinach zastępczych.

Naukowcy obecni na zjeździe wysunęli jako najpilniejszą:

postulat stworzenia programu psychiatrii dziecięcej i przeszkolenia w niej kadry lekarskiej, psychologów, wychowawców i opiekunów społecznych oraz nauczycieli, zogniskowaniu prac badawczych oraz instruktorów w ośrodkach psychiatrii dziecięcej i wreszcie uzgodnienia i konsekwentnego wprowadzania w życie zasady współpracy międzyresortowej, jak opracowanie programów szkolnych czy kontrola podręczników szkolnych. To ostatnie jest bardzo ważne. Chodzi o to, aby uchronić młodzież i dzieci od przepracowania.

Okazało się również, że w warunkach powrotu do głosu psychologii oraz psychiatrii dziecięcej, myśli się również o rehabilitacji i reedukacji dzieci ze schorzeniami centralnego układu nerwowego jako jednego z najpilniejszych zadań z punktu widzenia socjologii i medycyny społecznej. Nowoczesne formy życia społecznego mogą stworzyć warunki pozwalające zmobilizować środki do przywrócenia pacjentom zdolności do samodzielnego życia przez powolne nauczanie zawodu, odpowiedniego do stanu ich zdrowia. Dr Stanisław Wawrzyńczyk podjął się tego najpilniejszego i bardzo trudnego zadania w jedynej na razie neuro psychiatrycznej klinice w kraju pod Garwolinem, gdzie opracowuje się specjalne metody terapii. Chore dziecko przechodzi tam kolejno oddziały rehabilitacji i reedukacji, co w końcowym stadium leczenia pozwoli mu wrócić do

własnego środowiska. Oczywiście — brak nam tego rodzaju specjalistów. Według obliczeń prof. Bilikiewicza brak ich obecnie około 200. Stąd postulat wobec szkolnictwa wyższego o zajęcie się tą dziedziną.

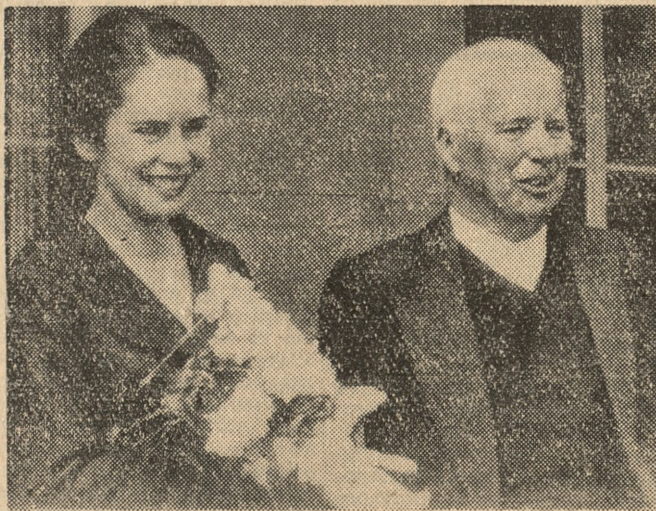
Obok potrzeby przeszkolenia i doszkolenia lekarzy, konieczne jest podniesienie wiedzy nauczycieli pod względem psychologicznym. Nauczyciel pierwszy spostrzeżenia psychiczne zaburzenia dziecka. Dlatego powinien gruntownie znać psychopatologię i psychoprofilaktykę, aby w porę uchwycić objawy psychozy i nie nazywać ich „złą wolą” dziecka.

Duży nacisk w czasie obrad zjazdu położono na przeszkolenie opiekunów społecznych mających chronić dzieci od niekorzystnych warunków środowiska, na lepsze przygotowanie kadry wychowawczej dla domów wychowawczych i pogotowia opiekuńczego; na wychowawców dla szpitali dziecięcych (aby nie dopuścić do analfabetyzmu), jak również na właściwe przygotowanie absolwentów szkół specjalnych do ich przyszłego zawodu i życia.

Te wszystkie problemy nie znajdowały dotychczas wystarczającego rozwiązania. Pod tym względem jesteśmy bardzo zaporówni. Lepiej jednak późno niż nigdy zająć się sprawami higieny psychicznej i dbać o nią konsekwentnie — w każdym miejscu pracy i nauki.

Od tego w dużej mierze zależy prawidłowy rozwój człowieka, a co za tym idzie — wyniki naszej pracy. Toteż należy się cieszyć, że o problemach higieny społecznej rozpoczęto mówić nareszcie serio.

Doc. dr Wł. MIELCZARSKA



Jeden z najwybitniejszych twórców filmowych wszelkich czasów, scenarzysta, reżyser aktor i kompozytor, Charlie Chaplin obchodził 70 rocznicę swych urodzin. Na zdjęciu: Charlie z żoną. Chaplin od lat mieszka w Szwajcarii.

Fot — CAF

Eugeniusz Morski

OŚLEPŁYM NOCOM

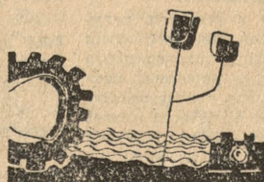
Miedziany powój lśni obwodów,
mkną w kolektorach błyskawice,
tańczą panewki korbowodów
w smarach gorących jak żywica.

Szklane, wysokie niebo hali
odbija różę wyładowań,
izolatorów rosną dale
w półmroku ultrafioletowym.

Srebrzyste paki porcelany
i ozon zamiast chlorofilu,
cieniami po ognistych ścianach
olbrzymie snują się profile.

I ciche trzaski lecą w ciszę
— ktoś stąpa w elektrycznej trawie,
i gromowładny gest kołysze
gąłęzie ramion u nastawnic.

Wysokich napięć kilometry
stąd nad polami sowy piosną,
stąd białe oczy manometrów
przynoszą wzrok oślepiłym nocom.



Ciekawe zdjęcie z roku 1902. Widzimy na nim (od lewej) Feliksa Modrzejewskiego, wnuka wielkiej artystki, Marię Radziejewską (w białej pelerynie), ostatnią miłość H. Sienkiewicza, dalej — Jadwigę Modrzejewską synową Heleny oraz wnuczkę Marylę Modrzejewską-Pattison, mieszkającą obecnie w farmie w Tuscon, St. Arizona w USA. Zdjęcie, wykonane w czasie podróży do Europy na statku „Pensylwania”, udostępnił nam p. Ignacy I. Moś z Poznania.

„Czego tu chcesz, mała mucho?...“

W pewien deszczowy, mroźny poranek na dworcu Charing Cross w Londynie wysiadła Helena Modrzejewska. Ta wielka artystka, która miała zdobyć szturm serca i umysły publiczności zwłaszcza amerykańskiej — nie przeczuwała w tej chwili swych sukcesów. Przeciwnie, jak pisała w jednym ze swych listów do matki, znajdowała się w stanie skrajnej depresji.

„...Wczoraj, kiedy stałam pod pomnikiem Nelsona — pisała — wydawało mi się, że widzę na ustach tego wielkiego Anglika ironiczny uśmiech i słyszę pytanie: czego tu chcesz mała mucho?”

Okazało się jednak, że nie wszyscy mieszkańcy Albionu są tak chłodni i sceptyczni — jak to można by sądzić z pozoru i wyglądu ich wielkiego kamiennego admirała. Już pierwsze występy Heleny Modrzejewskiej na londyńskich scenach wywołały entuzjazm i sukcesy, które przeszły wszelkie oczekiwania. W czasie swego pobytu w Anglii w latach 1880—82 oraz w 1885 r. — artystka występowała 150 razy w Londynie, Liverpoolu, Birmingham, Leeds, Edynburgu, Dublinie i Manchesterze. Entuzjastyczne przyjęcie zgromadziło jej zresztą nie tylko publiczność lecz także i krytyka angielska.

Recenzent teatralny „Manchester Guardian” pisał wówczas iż: „...pani Modrzejewska przypomina największą angielską Julię — Adelaidę Neilson. Jej cudzoziemski akcent jest jeszcze jednym więcej jej urokiem”. Zaś po występie Modrzejewskiej w „Marii Stuart” — krytyk Henry James oświadczył na łamach swego pisma: „polska artystka jest obecnie największą ozdobą sceny angielskiej”.

Nic dziwnego zatem, iż wybitną polską artystkę, która taką sławą cieszyła się za granicą, czci — w 50-rocznicę jej śmierci — świat artystyczny zarówno Polski jak i Anglii oraz Stanów Zjednoczonych, które stały się jakby jej drugą ojczyzną.

Kiedy — po licznych występach z braćmi aktorami Feliksem i Józefem Benda w wędrownych trupach galicyjskich — zadebiu-

towała Modrzejewska w 1865 roku na scenie krakowskiej, zdobyła sobie od razu ogromne powodzenie i... engagement do 1868 roku. Następnie osiem lat uświetniła artystka teatry stołecznej, gdzie odnosiła kolosalne sukcesy. Wkrótce jednak — nieobecność wielu środowiskom artystycznym po dziś dzień — szły i intrygi, zmusiły Modrzejewską do opuszczenia kraju. Wraz ze swoim mężem Chłapowskim udała się w podróż do Ameryki a także do Anglii — ojczyzny jej ulubionego poety Szekspira. Być może, że to właśnie w głównej mierze przyczyniło się do owej wielkiej „tremy” artystycznej przed występami w Anglii. Miała przecież grać w ojczyźnie i w języku Szekspira przed publicznością przyzwyczajoną do najwspanialszych kreacji.

W szeregu tych najwspanialszych kreacji stała się mała wkrótce ona sama.

Czcząc rocznicę śmierci wielkiej polskiej artystki, jeden z najpoważniejszych dzienników angielskich „Times” pisze: „Już sama fascynująca uroda Modrzejewskiej wystarczałaby, aby zapewnić jej olbrzymie powodzenie. Tym bardziej więc należało podziwiać jej nieustanną pracę nad sobą, niezmordowane dążenie do doskonalenia swej sztuki. Gra jej miała niezwykłą subtelność, którą porównywano nieraz do muzyki Chopina, a jednocześnie wstrząsającą siłą dramatycznego wyrazu, co uwydatniało się zwłaszcza w rolach szekspirowskich”. W książce pt. „Szekspir na scenie” znany krytyk William Winter pisał, że Helena Modrzejewska posiadała magiczną moc oddziaływania na wyobraźnię. „Wielki duch który ożywił jej piękność i jej sztukę, ma nieśmiertelną potęgę”.

(W-a)

KŁOPOTY przed DUO-MILLENIUM

Geograf, który przed bez mała dwu tysiącami lat kreslił wzmiankę o leżącym przy bursztynowym szlaku osiedlu Calisia nad rzeką Prona, nie przypuszczał, że zapisaniem tym ułatwia odległym o kilkadziesiąt pokoleń sześćdziesięciusiedmiu tysiącom Scytów wyposażenie latarni ulicznych w lampy jarzeniowe oraz otrzymanie grubszej gotówki na schłodzone tylni fasad kaliskiego forum.

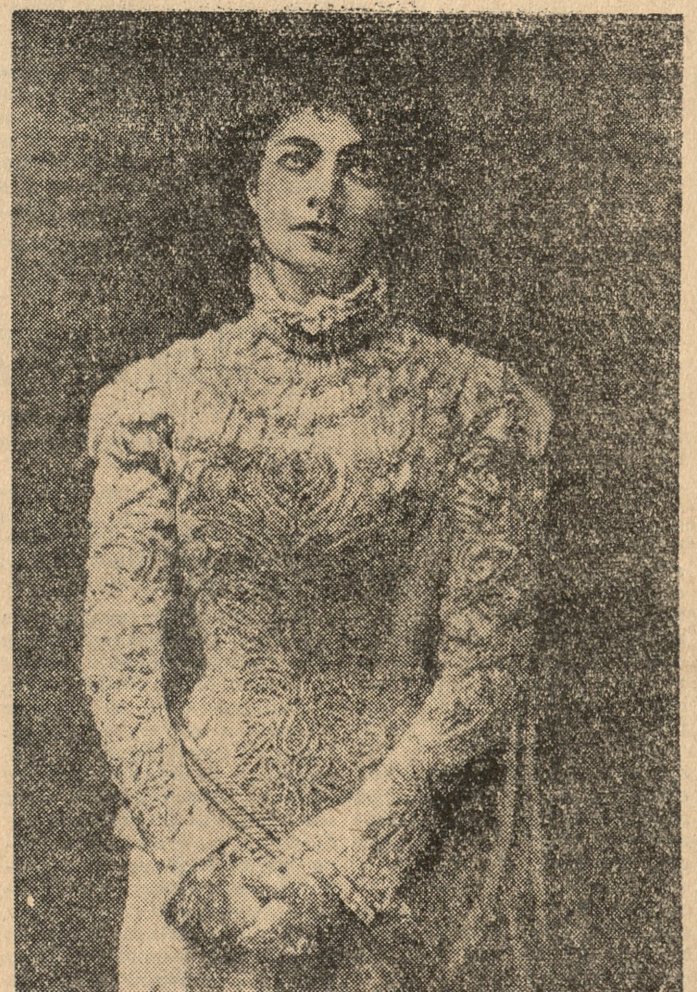
Tysiącosiemsetlecie bez mała duomillennium, jubileusz który nie zna sobie równego i gasi wszystkie pozostałe tradycje naszych miast, przyniósł wielką szansę obecnemu pokoleniu kalizan. Za rok, gdy przeminie wir przygotowań świątecznych porządków i wielkiego prania, uzyskamy nowe schłodzone, sympatyczne miasto, którym przed każdym można się pochwalić. Już dziś sympatyczna Calisia zgarnia szereg pochwał od swego bretońskiego bliźniaka z wyboru, miasta Hautmont. W holu kaliskiego ratusza zebrano na tablicy szereg wycinków z prasy departamentu Nord, informujących francuskiego czytelnika ce qu'est Kalisz...

Jubileusz tego rzędu może zawrócić w głowie każdemu miastu na wschód od Renu, a w każdym razie od Łaby. Weźmy nasze polskie stosunki: my sobie długo, często i gęsto o Millenium, u nich gawędzi się o tym, że koniec drugiego tysiączka już całkiem niedaleko, że do tego czasu rozrost Kalisza... itd. Rząd wielkości, różnica proporcji — to też niegorsza pożywka dla ambicji. Cóż my? Możemy się legitymować co najwyżej nieważnym tysiącem lat, i to jeśli ktoś mieszka w Gnieźnie czy Poznaniu, podczas gdy o nich już Ptolomeusz...

Niestety — w wielu sprawach ludzie z bursztynowego traktu zależą od reszty, co kępuje ich szczytne plany, zamiary i zabiegi, by tysiącosiemsetlecie rocznica wypadła jak najbardziej okazała, godna nie tylko miasta, lecz całego kraju.

Chodzi o rzeczy poważne i niewesołe. Kalisz ma kłopoty,

(Dokończenie na str. 3)



HELENA MODRZEJEWSKA

CAF

Rzeźba

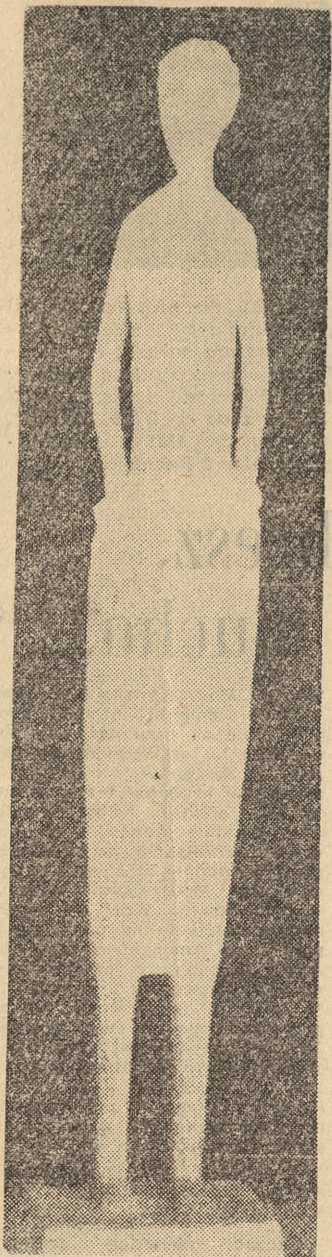
ANNY KRZYMAŃSKIEJ

Trzecia kolejna wystawa, z cyklu małych wystaw w indywidualnych w Klubie „Od nowa”, obejmuje 9 rzeźb młodej rzeźbiarki Anny Krzymańskiej, dyplomantki poznańskiej PWSSP.

Ekspozycja ta pomyślana jest w pewnym sensie retrospektywnie. Od nader impresjonistycznych studiów portretowych, poprzez ekspresjonistyczno-kubizujące głowy, artystka przechodzi kolejne stadia ewolucji widzenia, aż do rzeźb nasuwających analogie z prymitywami Wyp. Oceanii. Ostatnie jej kompozycje napiewnowane są niekonwencjonalnym pojmowaniem konstrukcji, elementu w jej rzeźbie o odważnych liniach statycznych. Anna Krzymańska ani na chwilę nie zapomina o sprawach tak ważnych jak świadoma analiza formalna tematu i uwzględnianie jego rezultatu w swoich pracach, poprzez eilminowanie przypadkowości, nieraz kosztem końcowych efektów estetycznych. Fakt ten wskazuje na prawdziwą pasję zgłębiania wartości rzeźbiarskich każdego opracowywanego tematu konsekwentnie piętnowanego obsesją rzeźbiarki — linią pionu, wydłużaniem form.

Anna Krzymańska od początku odrzuciła zdecydowanie balast skomplikowanych treści, opowiadając się za tematami prostymi o jednoznacznym podmiocie. To pomaga jej kształtować powzięte zagadnienie rzeźbiarsko, a nie (co często spotyka się u młodych) anegdotycznie. Artystce nie chodzi o ilustrowanie za pomocą bryły jakiegoś zdarzenia fabularnego, lecz o wyrażanie treści zawartych w samej zasadzie, w sposób trójwymiarowy i zorganizowany przestrzennie.

Rzeźbiarka swoje koncepcje artystyczne zawiera w widzeniu realistycznym, inaczej mówiąc przedmiotowym, pozostając stale jeszcze w stadium rozwojowym o kierunku syntetyzowania przedmiotu. Dopiero po opracowaniu tych zagadnień można myśleć o analizie, która uwzględniłaby zajmowanie się poszczególnymi elementami tematu. Pewne nawiązanie do analizy dostrzec można co prawda w ostatniej rzeźbie Anny Krzymańskiej zatytułowanej „Mocarz”, ale i tutaj chodzi jedynie o określenie relatywności poszczegól-



gólnych form składających się na całość kompozycji podporządkowanej poprawnej konstrukcji.

Wystawa bardzo interesująca. Sam pomysł scenografii ekspozycji wskazuje na możliwości dysponowania lokalem na wystawie rzeźby o tak niekorzystnych warunkach przestrzennych jak sale Klubu „Od nowa”.

Na zdjęciu — „Oczekiwanie” (gips patynowany).

B. A. KONARSKI

Syn wielu narodów

Pierwsze swe utwory komponował mając zaledwie 10 lat.

W wieku lat 17 Haendel został mianowany naczelnym organistą miasta Halle. Jednakże bardziej pociągała go twórczość operowa. Udał się więc do Hamburga, gdzie ten rodzaj muzyki był bardzo popularny i tam, w roku 1705, skomponował swą pierwszą operę „Almira”, która uzyskała duży sukces. Dzięki znacznym dochodom z przedstawień „Almiry” Haendel mógł już w następnym roku wyjechać do ojczyzny opery — do Włoch. Podczas pobytu we Włoszech przyswoił sobie i udoskonalił włoski styl operowy. Jego opery z okresu „włoskiego”, jak np. „Rodrigo” i „Agrippa”, odznaczają się lekkością i subtelnym, lirycznym wdziękiem.

W roku 1710 Haendel, wówczas już nadworny kapelmistrz księcia Hanoweru (późniejszego Jerzego I, króla angielskiego), po raz pierwszy odwiedził Anglię, gdzie w ciągu 2 tygodni napisał operę „Rinaldo”, bardzo gorąco przyjętą przez londyńczyków. Sukces osiągnięty w Anglii usposobił go przyjaźnie dla tego zasutego mgłami kraju, tak bardzo różnego od słonecznej Italii.

W roku 1742 Haendel porzucił operę i skoncentrował się na innym rodzaju twórczości — na oratoriach, w których okazał się nieporównanym mistrzem. W przeciwieństwie do oper, które nie wytrzymały próby czasu, oratoria Haendla, jak „Saul”, „Samson”, „Juda Machabeusz”, a zwłaszcza słynny „Mśjasz” znane są i grywane do dziś. Ogromne bogactwo melodyczne tych utworów, ich pojętny ładunek emocjonalny i wspólna instrumentacja kwalifikują je do rzędu arcydzieł o nieprzemijającej wartości.

Podobnie jak dla Beethovena głuchota, tak dla Haendla klęską ostatnich lat życia stała się utrata wzroku. Tworzył on jednak w dalszym ciągu i dzieła jego cieszyły się niesłabnącym powodzeniem. Gdy grano jego opery czy oratoria w jakimś odległym miasteczku, publiczność angielska wędrowała dziesiątki kilometrów, aby je usłyszeć.

W dwusetną rocznicę śmierci Jerzego Fryderyka Haendla (4 kwietnia) cały kultu-

ralny świat uczcił jego pamięć „Rokiem Haendlowskim”. W wielu krajach — również i w Polsce — organizuje się koncerty, poświęcone jego twórczości. (m)

Haendel od kolebki żył światem tonów. Wsłuchiwał się w nie, podążał za nimi, starał się je odtwarzać o tyle, na ile pozwoliły mu jego możliwości. Z początku niecodzienne zainteresowania dziecka były osobliwością dla rodziny, lecz kiedy pociąg do muzyki w nim nie słabnął a wzrastał, powstał w rodzinie niepokój. Ojciec bowiem pragnął, by jego młodszy ulubieniec pracował swą zapewnił sobie większy dobrobyt, co było możliwe z uwagi na jego zapal do nauki. Zdaniem ojca — zainteresowania muzyką winny być stłumione, a chęć do nauki skierowana na inne tory. Dlatego pragnął, by syn studiował prawo... W takiej sytuacji z mimowolną pomocą młodemu Jerzemu przyszła jego ciotka Anna. Mały klawikord bowiem zdobył mieszkanie państwa Haendlow niepostrzeżenie wywędrował z zwykłego miejsca swego i znalazł się na poddaszu, do kąd pozwolono młodemu artyście uczęszczać i grać na instrumencie, lecz tylko wtedy, kiedy wszyscy już spali.

— tak nazywano Jerzego Fryderyka Haendla, jednego z najwybitniejszych kompozytorów w dziejach muzyki. Urodził się w Halle, w Saksonii, w rodzinie niemieckiej pochodzącej ze Śląska, dojrzałe lata spędził we Włoszech, gdzie zdobył sławę, pod koniec życia zaś osiedlił się w Anglii, przyjmując narodowość angielską.

Owe zmienione warunki miały na celu zniechęcenie dziecka do muzyki. Mały Jerzy jednakże ucale się tym nie zrażał. Nocną porą wchodził na poddasze i tam dawał upust swym duchowym przeżyciom. Grał zapamiętałe, wylewał swe uczucia i swój urodzony zresztą dramatyczny patos, a może też i żal i gniew, że odosobniono go wraz z ukochaną przezeń muzą.

Ojciec Jerzego wybrał się pewnego dnia do Weissenfels, celem załatwienia pewnych spraw natury urzędowej u księcia. Syn (a miał wówczas 8 lat życia) chciał towarzyszyć w podróży rodzicom, na co nie uzyskał zgody. Chłopiec jednak nie zrezygnował, bo popędził śladem ojca, aż wreszcie zwrócił się z dyktansem. Na widok chłopca ojca ogarnęło zdumienie, a w Weissenfels długi czas z tego powodu rozprawiano.

Tam też miejscowa orkiestra wciągnęła dziecko do swych ćwiczeń, a pewnej nocy dzieli także do ćwiczeń na

organach. Kiedy stwierdzono, że Jerzy był z tego powodu zadowolony, organista pozwolił młodemu muzykowi, na zakończenie nabożeństwa, zagrać na organach, by spełnić ciche pragnienie dziecka. Książę spostrzegł tę próbę, wysłuchał gry, a następnie zapytał swego kamerdynera kim jest ten mały organista. Poleciał też zawiadzić chłopca pospół z jego ojcem. Wyraził też wiele słów ku pochwałie muzyki, dodawszy na zakończenie: „każdy rodzic winien najlepiej znać cel, do którego chciałby doprowadzić swoje dzieci, by zapewnić chłopcu wolność i w ten sposób pozwolić na naturalny rozwój jego umysłowości”. Jednocześnie napisał kieszonkę Jerzego złotem i obiecał dalsze poparcie. To wszystko ko razem uczyniło duże wrażenie... Ojciec po powrocie do Halle postanowił znaleźć dobrego nauczyciela muzyki dla syna swego Jerzego, by rozwinąć ogromny talent muzyczny dziecka.

(wg Chrysandera opracował R. H.)

Telewizyjne Uroki Polihymnii

Od z górą pół roku ukazują się w programie lokalnym Telewizji Poznańskiej atrakcyjne widowiska muzyczno-słowne pod wspólnym tytułem „Uroki Polihymnii”. Dziś po południu zobaczymy siódmą koleją teleaudycję tego cyklu. Warto dodać, że po wypróbowaniu tego typu widowiska w programie lokalnym zostanie on wprowadzony wkrótce do programu ogólnopolskiego.

W przeciwieństwie do „Sekretów Polihymnii” — cyklu nadawanego ongiś w Telewizji Warszawskiej — teleaudycje poznańskie nie służą bezpośrednio jakiegś systematycznej popularyzacji muzyki. Obydwaj autorzy — Tadeusz Haluch i Ryszard Urban pragną po prostu pobudzić zainteresowanie widza i słuchacza różnorodnymi formami muzyki, a nie od czasu do czasu do współczesności. W tym celu sięgają do epizodów z życia wielkich twórców, posługują się anegdotą, odsłaniają kulisy powstawania arcydzieł muzyki klasycznej. Rezygnując celowo z komentarza, a teorii

poświęcają stosunkowo niewiele uwagi. Unikają też stosowania zasad chronologii i kolejnego popularyzowania określonych gatunków twórczości. W ten sposób — bawiąc — wprowadzają nieprzemyślanych odbiorców w pierwszy stopień „wtajemniczenia” muzycznego, a melomanom dostarczają wcale nie mniejszą sumę przeżyć.

W każdym widowisku pojawia się 6—8 małych inscenizacji lub wstawek muzycznych. Jest to więc „ładunek” pokazowy. Składają się na niego arie operowe i sceny baletowe, pieśni i koncerty na różne instrumenty, fragmenty muzyki symfonicznej i jazzowej, chóry i stylizowane piosenki ludowe. Utwory te są wykonywane bądź przez najlepsze zespoły i solistów z naszego środowiska, bądź też podkładają się nagrania taśmowe. Od czasu do czasu wykorzystuje się fragmenty filmów o charakterze dokumentalnym. Oczywiście — w repertuarze są pewne luki, które wynikają z braku partytur i wykonawców. Mimo to walory muzyczne widowiska są bardzo wysokie. Powiększają je wydatnie elementy wizualne. Pod tym względem telewizja skutecznie rywalizuje z teatrami opery i baletu. W przypadku „Uroków Polihymnii” godne podkreślenia są wysiłki scenografy Barbary Wolniewicz.

Najlepiej pomyślany zestaw wstawek muzycznych nawet przy atrakcyjnym ich zainicjowaniu i wykorzystaniu fragmentów filmowych byłby tylko magazynem, gdyby nie wprowadzono drugiej płaszczyzny widowiskowej, zawierającej elementy akcji. Są to wizyty Mefistofelesa u starego melomana — samotnika Teofila. Dzięki tym wizytom i mocy wywarowania przeszłości przez diabła, widowisko zyskuje na jednolitości, wartości i tempie. Mefistofeles przedstawia się nam jako miłośnik uroków Polihymnii.

Odwiedza on pana Teofila zastrzegając się, że czyni to zupełnie bezinteresownie, podobnie jak bezinteresownie prowokuje ukazywanie wizji przeszłości. Pan Teofil przyjmuje te wizyty z pewną dozą nieufności, ale rad jest w gruncie rzeczy z przysług diabła, który, że zadowalają one jego największą pasję życiową.

W rzeczywistości Mefistofeles ma pewne określone zamiary wobec starego melomana. Korzysta z każdej okazji, aby obalić legendy powstałe wokół wielkich artystów. W

czwartym widowisku próbuje nawet wprowadzić pana Teofila w świat piekła. Przynęta jest tu „Noc Walpurgii”.

Trzeba przyznać, że dialogi Mefistofelesa i Teofila są zgrabne i błyskotliwe. Gdybyśmy nawet wyodrębnili je z kontekstu scenek muzycznych, stanowiłyby bardzo przyjemną pozycję telewizyjną. Zresztą rola dialogu w „Urokach Polihymnii” wzrasta i wysuwa się coraz wyraźniej na plan pierwszy. Wydaje się jednak, że do tonu zabawy słownej warto by wprowadzić w szerszym stopniu nutę filozoficzną i silniejszy akcent sporów intelektualnych. Zresztą w tekstach teleaudycji znajdujemy już wspomniane nuty i odpowiednio akcenty. W każdym razie skoro autorzy podjęli ten atrakcyjny posiadający długą tradycję motyw literacki, warto zachęcić ich, by zrobili jeszcze krok naprzód. Przyszłość „Uroków Polihymnii” widzę właśnie w rozwinięciu i pogłębieniu dialogu nawet kosztem pewnego ograniczenia scenek muzycznych.

Na zakończenie kilka słów o sprawach realizacji widowisk. Reżyseria ich spoczywa w doświadczonych rękach J. Hoffmanna. Dzięki temu, każda premiera „Uroków Polihymnii” jest niewątpliwym sukcesem realizatorów. A przecież każda z tych teleaudycji jest wyjątkowo złożona i skomplikowana. Warunki gry w studio, wypełnionym szczerze tłumem artystów i statystów oraz dekoracjami, na pewno nie można ocenić jako sprzyjające. Główny wysiłek reżysera idzie w kierunku wydobycia walorów widowiskowych „Uroków Polihymnii”. Gdyby zdecydowano się na pewne ograniczenia tej płaszczyzny — o czym wspominałem wyżej — można by pokusić się o wydobycie jeszcze pełniejszego waloru dialogu. A to warto uczynić.

W każdym razie „Uroki Polihymnii” są na pewno ambitną i wartościową próbą nowego typu widowiska telewizyjnego.

Józef MODRZEJEWSKI

„Junker Thaddäus”

W marcowym (trzecim) numerze „Dialogu” znajdujemy ciekawy artykuł Leszka Prokora, omawiający tłumaczenie Mickiewiczowskiego „Pa na Tadeusza”, dokonane przez niemieckiego nauczyciela poznańskiego gimnazjum Marii Magdaleny, dr. Engelberta Rehbronna. Tłumaczenie to powstało z końcem XIX wieku i było próbą przeniesienia „Pa na Tadeusza” na scenę. Prokora, posługując się licznymi przykładami, śledzi sposób, w jaki niemiecki nauczyciel usiłował nadać arcydziełu sceniczny kształt. Radzimy przeczytać ten ciekawy artykuł, jak również inne interesujące pozycje „Dialogu”.

(b)

„To był ciekawy artykuł — pisze nam jeden z Czytelników o artykule zamieszczonym tutaj tydzień temu — bo o piosenkach i piosenkarzach pisze się bardzo niewiele. Chyba każdy człowiek ma jakąś ulubioną piosenkę, a więc w jakimś stopniu interesuje się nią i jej wykonawcami. Ale nie bardzo rozumiem, dlaczego przy tym artykule znalazł się dopisek redakcji, że „polskie tłumaczenie tej piosenki (chodziło o „Volare”) jest dość typowym przykładem nieudolności”. Mnie się wydaje, że piosenka rozrywkowo-liryczna, czy jak ją inaczej nazwiemy, nie musi mieć słów specjalnie mądrych, gdyż nie w tym jej sens.”

Jak to było w tym dowcipie? Chyba tak, że z dwójga złego lepiej być głupim niż tępym, bo tego nie widać...

Z tekstami do piosenek ostatnio jednak bywa tak, że to widać.

Oczywiście — nikt nie zamierza wymagać od tekstu bezpretensjonalnej piosenki „uczonych” słów. Przeciwnie. Wiemy, że recytowanie haseł o zadaniach planu produkcyjnego w rytmie fokstrotu nie pomagało bynajmniej produkcji, lecz — co najgorsze — przeszkadzało tańczącym. Tak się jakoś bowiem składa, że wyjąwszy wypadki nieoczekiwane czy wręcz skrajne — tańczący się z osobą pici odmiennie; stąd tematyka słów jest z góry określona. Również piosenka, nie utrzymana w rytmach tanecznych, służy raczej odpoczynkowi i rozrywce, a nie wyrażaniu poglądów. Nie ma chyba sensu dyskutować nad tym, że tekst piosenki powinien być łatwy i lekki, że dobrze jest, kiedy bywa przy tym dowcipny choć być nie musi, gdyż może mieć akurat klimat sentymentalny. Pod tym względem można chyba liczyć na ogólnonarodową zgodę. Przecież to właściwe cechy stanowią o wdzięku piosenki. Boże broń, nie odzierajmy jej z tych miłych szatek.

Ale po trzykroć, po dziesięciokroć, nie mogę zrozumieć, że na jakiej zasadzie lekkość ma

być identyfikowana z tańcem, stąd na porcelanowym półmisku, dlaczego wdzięk ma oznaczać mizdrzenie się, sentyment musi przypominać ciągnięcie tysego za włosy, a

głosem, gdyby nie należało do urodzonych milczków. Chwała mu zresztą za to.

Ot, wróćmy do popularnej u nas piosenki Modugno „Volare nel blu”. Wprawdzie Strugarek twierdzi, że jest to ostatni przebój światowy, ale nie o to chodzi, konferansjer nie papież, może się mylić. Są dwa teksty polskie do tej „Volare”. Jeden — bardzo zresztą przyjemny w nastroju. Ale ten drugi, który — jak na ironię — o wiele częściej słyszymy w radio? „Volare (...) to słowa są z mojego snu...” Litotki! Nie jestem ponurakiem, ale za jakie grzechy mam w rytmie przy-

choćby na ostatnie strony zeszytów literatury naszych licealistów i nikogo to nie peszy, nikt się tym nie zajmuje. Wystarczy, że tekst nie zawiera „akcentów szkodliwych politycznie”. A nie zawiera, skądże znowu! Przecież bezmiernym geniuszem chodzi o efekty innej zgola natury. Ale przecież ktoś decyduje, że ten czy inny tekst wchodzi do programu radia, koncertu czy nagrań płytowych. Ktoś, czyli człowiek żywy, osoba fizyczna, nie mara senna z niepiosenek majaków.

Tym bardziej przykro, gdy tego rodzaju kwiatulski wyrażają na rodzimym niwie. Każdej niedzieli w popołudniu włączam radio, gdy słyszę zapowiedź ogłoszenia wyników gry liczbowej „Koziołki”. Na tutaj osiągnięto już coś więcej, mia nowicie klasyczną jednostkę formy z treścią. Katarzynkowej melodii dzielnie sekunduje „wystukiwanie cyferek” przez „brodatego koziołka”. Rozumiem, że „Koziołki” mają prawo do reklamy, zresztą jeżeli już grać nie na fortepianie czy w brydża, to lepiej w taki sposób, który gwarantuje, że owoce tej gry w postaci złotych pozostają w naszym mieszkaniu i województwie. Ale dlaczego nikt nie powiedział autorom owej „piosenki”, żeby nie męczyli ludzi. Z dziwnym uczuciem słucham w radio felietonu, omawiającego z dużą troską formy zwalczania brankorobstwa w fabryce obuwia, wiedząc, że za chwilę na antenie wejdzie niewybrakowany beztrosko towar piosenkarstwa. Mimo, że bardziej irytują dwa lewe buty, niż piosenka napisana jedną lewą nogą.

„Z piosenką jest nam wesoło” — śpiewał mój starszy brat, wybierając się na wybieżkę. Chciałbym powtórzyć te słowa. Niestety. A że bez piosenki też bywa smutno, cóż... Człowiek się widocznie starzeje. Nadzieja w tym, że piosenki również...

GNOM

BŁOGIE NIEPŁOSZONE SNY

dowcip — uderzanie dłonią na płask o oślą skórę.

I w ogóle nie potrafię uwierzyć magikom od pichcenia tekstów, że między bezpretensjonalnością a infantylizmem nie ma żadnej różnicy.

Nie chcę nawet wysuwać na pierwszy plan argumentu, że słowa piosenki bardzo szybko rozchodzą się wśród ludzi, kształtując smak w zakresie na pewno szerszym, niż np. zbiorowe wydanie dzieł Stowackiego. Że słowa te są przy mówiane bezkrytycznie przez słuchaczy, urzeczonych melodyjnością piosenki i powtarzane przez nich dalej. Że to zjawisko ma ostatecznie znaczenie społeczne. Po prostu wiele tekstów przyjemnych piosenek irytuje mnie jakoś bardziej niż obojętne, właśnie dlatego, że melodia przyjemna, a słowa... Słowa właśnie takie, że na jakiej zasadzie lekkość ma

jemnej melodii słyszeć taką bzdurę, że komuś śniły się francuskie słowa? Nikt nie odpowiada za swoje sny, komuś może się śnić nawet po francusku. Ale słowa?

Nie wiem, kto to „tłumaczy”. Na ogół autorzy ci nie okazują chęci do uzyskania rozgłosu. Ich nazwiska zapowiadają się wyjątkowo. Wystarczy im widocznie honorarium. A także to, co publicznie wyznaje autor (autorka?) owego tekstu: „Niech nikt nie piosły mych snów...”

Apel zbyteczny. Nikt jakoś nie śpieszy się do pioszenia.

Gdyby któryś z polskich reżyserów spróbował nakręcić film na poziomie, który reprezentują teksty niejednej z piosenek, bezlitosna krytyka nie pozostawiała by nim suchej nitki. Więcej nawet — część widzów miałaby również przeciwko sobie. A przecież — przepraszam, że się powtarzam — melodyjna piosenka ma zasięg o wiele szerszy, niż film. Zajrzyjcie

Nowości

z kraju i ze świata

W Anglii skonstruowano nowy aparat, który spawa powierzchnie o średnicy do 15 cm za pomocą elektronów. Elektrony te są emitowane przez drucik wolframowy „działa elektronicznego”, przyspieszane pod wpływem wysokiego napięcia i kierowane na punkt spawania materiału, połączony z ziemią. Metoda ta nadaje się szczególnie do spawania czystych metali, które łatwo się utleniają.

Po długich próbach, inżynierom Bell Telephone Co. udało się skonstruować aparat telefoniczny z małym ekranem telewizyjnym, w którym dzwoniący widzi swego rozmówcę. Szanse masowej produkcji takich aparatów są jednak znikome ze względu na znaczne rozmiary i wysoką cenę. Niewątpliwie jednak pierwszy krok został zrobiony! Prace nad udoskonaleniem aparatu trwają.

Lilipucia maszynę do pisania skonstruowano w Czechosłowacji. Będzie ona wystawiana na Międzynarodowych Targach w Brnie. Waży tylko 3,8 kg. Jej długość wynosi 32 cm, szerokość — 31 cm, a wysokość tylko 7 cm. Doskonale nadaje się do prac w podróży. (p. ch)

Sprawa nie jest u nas problemem

lecz warto się nad nią zastanowić i przeciwdziałać

Czy tylko „cierpienia młodego Wertera“?

Samobójczy zamach na życie — to zjawisko znane od wieków na całym świecie. Są kraje — Dania, Japonia, NRF — w których kwestia samobójstwa (ze względu na nasilenie) urasta do rangi problemu. Polska pod tym względem od dawna zajmuje jedno z ostatnich miejsc. Warto dodać, że po II wojnie światowej ilość samobójstw zmniejszyła się u nas o 66 proc. Tylko niewielu nie waha się obecnie targnąć na własne życie. Fakt, że tacy ludzie istnieją, jest jednak rzeczą oczywistą, której nie ma sensu wstydliwie przemilczać. Ukazanie tej sprawy we właściwym świetle może bowiem przynieść tylko pozytywne skutki. Sygnalizując właśnie tego rodzaju postulat, postanowiliśmy rozpatrzyć jak przedstawia się ta kwestia w Wielkopolsce. Wszystkie dane, jakimi na ten temat dysponujemy, dotyczą roku ubiegłego.

W tym czasie w województwie poznańskim organa MO zanotowały 104 samobójcze zamachy — 97 dokonanych i 7 usiłowanych. Sprawcami przeważającej większości zamachów byli mężczyźni. Kobiety targnęły się na własne życie 28 razy. Na miasto przypada 67 samobójstw, na wieś zaś — 37.

A oto wiek ludzi, którzy byli autorami samobójczych zamachów:

Poniżej 15 lat — jedna osoba, od 15—20 lat — 3 osoby, od 20—30 lat — 21 osób, od 30—50 lat — 43 osoby, od 50—70 lat — 30 osób, powyżej 70 lat — 6 osób.

Dane o stanie cywilnym:

Małżonkowie dokonali lub usiłowali popełnić samobójstwo 61 razy, osoby stanu wolnego — 30, wdowy i wdowcy — 10, a rozwiedzeni — 3 razy. Do najczęstszych sposobów pozbawienia się życia należy powieszenie (51 wypadków), otrucie (26) i utopienie (11).

Ze względu na stosunkowo niewielką ilość analizowanych tu przypadków samobójczego zamachu, wszelkie wnioski należy formułować bardzo ostrożnie. Zresztą uogólnienia, jakie wynikają z powyższych danych, mogą mieć znaczenie przede wszystkim teoretyczne i to szczególnie w psychologii i psychiatrii.

Przejdźmy z kolei do danych, które wymagają jak najbardziej wnikliwej i szczegółowej analizy. Chodzi o przyczyny.

Okazuje się, że choroba i trwałe kalectwo było przyczyną 44 zamachów, nieporozumienia rodzinne — 25, zawód miłosny — 10, popełnienie przestępstwa — 2, inne przyczyny — 8, a przyczyny nieznanne — 15. Zanim wrócimy do posiadającej największą wymowę liczby 44 krótka dygresja na temat dwóch zdarzeń, opowiedzianych przez pracowników Komendy Wojewódzkiej MO w Poznaniu.

Rzecz działa się jesienią ub. roku w powiecie T. Na przydrożnym drzewie powiesił się młody mężczyzna, ojciec kilkorga dzieci. W tym czasie w miasteczku odbywał się odpust — wskutek czego panował tam znaczny ruch. Rychło więc ludzie dostrzegli co się stało i odratowali desperata. Kiedy zapytano go o przyczynę tak tragicznej decyzji młody człowiek głosem tłumionym przez łkanie odpowiedział: „Zona mnie głodzi”. W kieszeni niedosłego samobójcy tkwiła butelka z wódką i w związku z tym ktoś z gromady gapiów siłą się na dowcip stwierdził, że przed samobójstwem trzeba było wypić alkohol. „Zostawiłem dla kolegów, żeby podczas stypy nie musieli szukać wódki” — odrzekł desperat.

W lutym bież. roku kobieta w średnim wieku, mieszkanka małej miejscowości w województwie poznańskim, popełniła samobójstwo przez otrucie się. Dochodzenie wykazało, że bezpośrednią przyczyną targnięcia się na życie było to, iż brat nie zaprosił jej na swoje wesele...

Niewątpliwie w obu opisanych zdarzeniach spotykamy się z powodami, które określić można co najmniej jako zaskakujące. Fakty te stanowią jednak dokładną ilustrację do przyjętego przez wielu badaczy stwierdzenia, że samobójstwa są na ogół popełniane w stanie mniej lub bardziej zaznaczonych zaburzeń psychicznych, występujących w postaci wyraźnej choroby psychicznej (zwykle psychozy depresyjnej) lub też stanu afektywnego. Tak więc niejednokrotnie targnięcie się na życie jest całkowicie niezrozumiałe dla otoczenia, które nie dostrzega wystarczających powodów do podjęcia tak rozpaczliwej decyzji. Dochodzenie w takich wypadkach z reguły wykazuje, że denat był osobą nie zrównoważoną, wrażliwą, o charakterze wybuchowym; jednostką, na którą bardzo silnie oddziaływały nawet drobne niepowodzenia. Tyle o psychopatyczności tle samobójstwa.

Cyfra 44 (choroba lub trwałe kalectwo) obejmuje jednak głównie wypadki powstałe na tle patologicznym — niejednokrotnie u nałogowych alkoholików. Pamiętajmy jeszcze tragedię jaką wydarzyła się w powiecie leszczyńskim, gdzie umysłowo chory — schizofrenik popełnił samobójstwo pozbawiając przedtem życia dwojga swoich dzieci. Jeśli chodzi o tę grupę samobójstw, to wnioszek zakrawający na truizm, polega nie tylko na walce z alkoholizmem. Chodzi bowiem o otczenie ścisłą opieką chorych, przekazywanie ich do właściwych zakładów leczniczych (pod tym względem szczególnie niezadowolająco przedstawia się sytuacja na wsi) oraz stosowanie surowych kryteriów oceny przy zwalnianiu pacjentów z zakładów dla chorych psychicznie (vide wspomniana już tragedia leszczyńska).

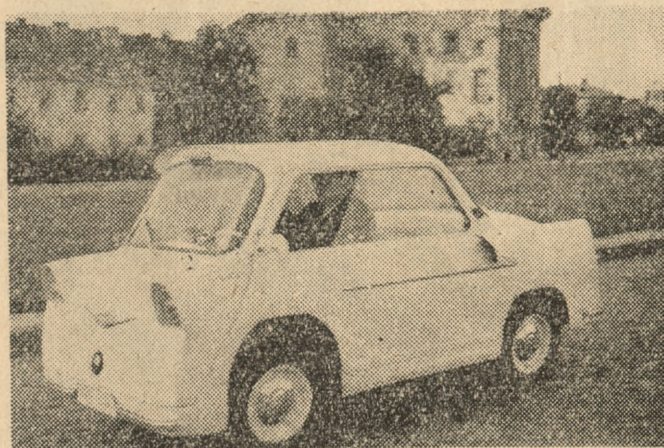
Na zakończenie wypadła cytować opinię prof. Grzywo-Dąbrowskiego:

„Należy dążyć do poznania przyczyn samobójstwa i jego pobudek oraz zapobiegać temu znu, aby uchronić niejedno życie często wartościowej jednostki. Z praktyki lekarskiej i obserwacji życiowej wiemy przecież, że niedoszy samobójca stosunkowo rzadko godzi ponownie na swe życie (...). Gdyby się udało przeprowadzić w Polsce dokładne badania oparte na większym materiale statystycznym dotyczącym całego kraju, pozwoliłoby to ustalić stan faktyczny, co z kolei ułatwiłoby znalezienie skutecznych środków zaradczych.

M. Ł.

- Źródła:**
1. Dane statystyczne Komendy Wojewódzkiej MO w Poznaniu.
 2. W. Grzywo-Dąbrowski: „Podręcznik Medycyny Sądowej” Państw. Zakład. Wydawnictw Lekarskich, W-wa 1958 r.

„Smyk” ciągle w próbach

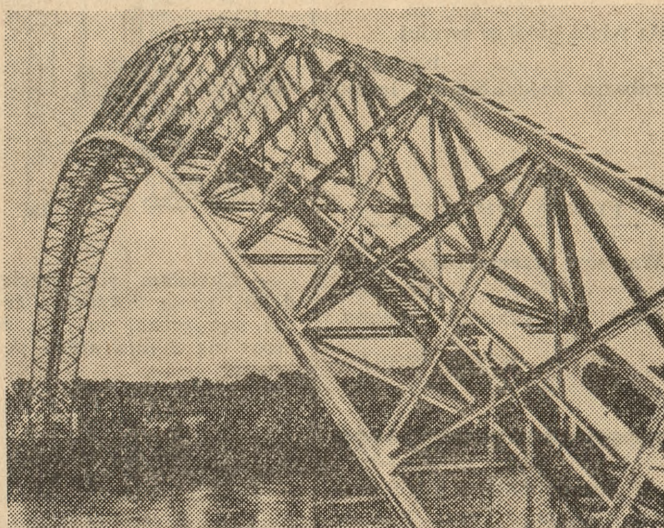


Udana konstrukcja małowartościowego polskiego samochodu „Smyk” jeszcze nie znalazła producenta. Rada Motoryzacyjna zastanawia się nad tym, że „Smyka” w ogóle warto zacząć produkować. Brak decyzji tłumaczy się... niepewnością czy znajdzie się dostateczna ilość odbiorców (!).

Konstruktorzy „Smyka” uparcie jednak pracują nad swym samochodem, aby stał się bezkonkurencyjny, zarówno w kraju, jak za granicą. Trzeba przyznać, że wygląd „Smyka” jest interesujący. (ac)

Fot. Dąbrowiecki

Kopalniany most



Kopalnie ropy naftowej w Wenezueli należą do najbogatszych w świecie. Czasami jednak szyby wyrastają w okolicy, której przebiecie przedstawia niezwykłą sztukę. Tak było w tym wypadku: na rzecznej wyspie Contreia znajdują się szyby, a tory kolejowe i stacje pomp dostarczających ropę do rafinerii — daleko od rzeki. Budowa normalnego mostu była nieopłacalna. Inżynierowie rozwiązali problem w ten sposób, że przerzucili przez rzekę jedno, bardzo lekkie przesło (ze stopu aluminium), które wytrzymało niewielki ciężar, ale wystarcza do transportu ropy rurociągiem oraz ludzi i sprzętu w wagonikach kolejki linowej. (ac)

Kłopoty przed Duomillem

(Dokończenie ze str. 1)

należy się szybka i skuteczna pomoc.

Miasto na swój jubileusz chciałoby wystąpić z jakimś regionalnymi piosenkami, z prezentacją własnego, autentycznego folkloru. Tymczasem choć w Kaliszu śpiewa się sporo, melodie regionalne nie zostały zinwentaryzowane ani utrwalone w fachowych zapisach magnetofonowych. Miejska administracja kulturalna zabiegała w Państw. Inst. Sztuki o ustalenie kolejności terenowych prac fonograficznych tak, by mogły objąć jak najszerszy region kaliski. Proszono o skierowanie tu waka-cyjnych ekip studenckich dla penetracji terenu z odpowiednim sprzętem. Miasto przygotowane jest do udzielenia tej akcji pomocy, oczywiście w ograniczonych ramach „budżetu terenowego”. Niestety — sprawa do tej pory nie ruszyła z miejsca, choć został tylko niedługi rok. Kaliszanie sami potrosze nagrywają na taśmę śpiewki okolicznych babuleniek i dziadków, jednak w przeświadczeniu, że czynią to niefachowo i bez odpowiedniego przygotowania folklorystycznego. Znosi się na to, że ekipy PISu wkroczyły w teren w roku 1801 czy 1802 ab urbe condita, pardon — chyba ścisłej będzie rzecz ab urbe descripta.

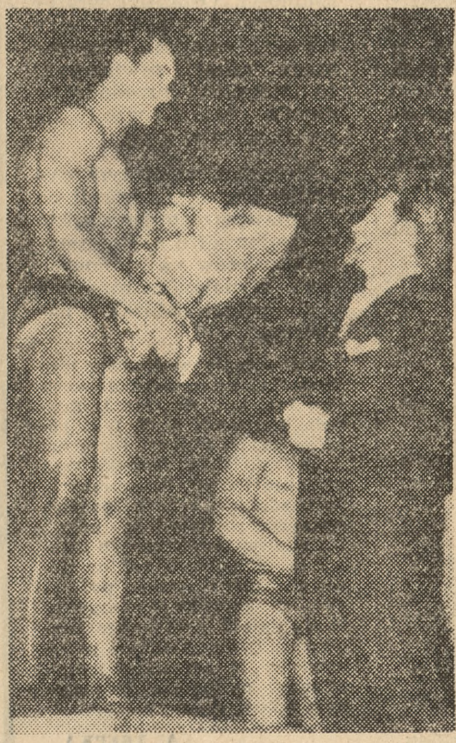
Podobnie wygląda sprawa strojów ludowych. Miejscowy nie został ustalony przez etnografów. Zespoły artystyczne posługują się przeto strojem wielkopolskim lub — bliższym miastu — ołobockim, choć w bezpośrednim sąsiedztwie Kalisza, w Liskowie i w Chełm-cu nie zaginęła jeszcze tradycja barwnych ubiorów ludowych. Trzeba ją tylko zbadać i utrwalić dokumentalnie.

Kłopoty przedstawione wypływają nie tylko z ambicji — co zresztą usprawiedliwiałoby je w dostatecznym stopniu — lecz z konkretnych potrzeb. Przed rokiem powstał w oparciu o Kaliskie Zakłady Dziewiarskie 100-osobowy zespół muzyki, pieśni i tańca, pracujący pod kierownictwem prof. Kwaśniewskiego z kaliskiej szkoły muzycznej. Zespół zdążył już uwić niemały wianuszek sukcesów. Koncertował w Szczecinie, m. in. dla załóg statków „Kalisz”

i „Prośna”, nad którymi miasto objęło patronat. Gościł niedawno bretoński zespół muzyki i tańca z Hautmont. Obecnie „Calisia” otrzymała zaproszenie na występy do Bretanii. Nie wiadomo kiedy realizacja tego kosztownego przedsięwzięcia będzie możliwa; wiadomo natomiast, że do bliźniaków z Hautmont zawięzić należy również własne regionalne piosenki i własne stroje. I dlatego nad Prośną przy bursztynowym traktcie rozlega się dziś głośnie wołanie: zlituj się, PISie!

W zakończeniu wróćmy do tonacji wstępnej. A propos „Calisii”. Kalisz, jak wiadomo, obok tkanin, pluszu i aksamitu produkuje także fortepiany. Ostatnio coraz częściej eksportujemy je do różnych krajów. Zakupila je również Finlandia, lecz w tej transakcji ambitne miasto musiało zrezygnować z marki „Calisia”, znanej od dwóch tysięcy lat. Słowo to oznacza bowiem po fińsku... kalesony! Takiego kłopotu nie mógł przewidzieć nawet mądry Ptolemeusz!

Leszek PROROK



Tytuł „Herkulesa 1959” zdobył we Francji młody rzeźbiarz Yann Larvour. Tak brzmiało orzeczenie sądu konkursowego złożonego, oczywiście z kobiet.

SŁABEUSZOM PRO MEMORIAM

Pojechałem w odwiedzin do pana St. Skrzetuskiego, który to na stare lata siedział na Fabianowie pod Kaliszem i oczekiwał śmierci. A w drodze — jak w drodze. Koń podkował zgubił, zjechałem więc do kowala. Chłopak ledwo że młotem machał. Jużem zaczął burczeć na niego, że babkiewego fachu a nie hejajstowego dzieła mu się imać. W tej samej chwili z traktu zjechało kilkunastu znaczniejszych ludzi, a między nimi hoża dziewczka. Jeden z nich w lepszym stroju okazał się, barczysty ale nie spały, raczej kościsty mąż, popatrzał na nieporadnie krzątającego się kowala, zeskoczył z konia, wybrał sztukę żelaza, przełądował i — ku mojemu zdumieniu zaczął giąć ją i rozprostowywać, aż potrzebny kawał żelaza sam się ulamał.

— Asan, któż to taki mocz, któremu żelazo posłuszy jak papier? — zapytał jednego z orszaków.

— Regimentarz Marcin Cieński z córka. Jedziemy do jego dóbr dziedzicznych do Cienia pod Sieradzem.

— Jakem żywo, co podobnego nie widziałem!

— Gdybyś waćpan był w Dreźnie na dworze króla, widziałbyś większe rzeczy. Król strasznie mocen, uważał że nie ma nad niego. Nasz pan Cieński na szwach drabantów królewskich pozakrecał sztaby żelazne, daremnie król się starał je odgiąć. Pościł po kowala, ten chciał już szyny uraz z żołnierzami na ogniu kłaść. Pan nasz wtedy

z łatwością żelaza podkował. Królowi było bardzo głupio że znalazł się ktoś silniejszy od niego.

— A ta miła dziewczka?

— To jego córka. Też ci moc ma w rękach. W zeszłą wiosnę w naszej Cieni kłóciło się dwóch ludzi i już brali się do szabli. Nasza panna — nie uwierzysz — waćpan — obu za pas chwyciła i powyrzuciła przez okno do sadu!

— Dalibóg, nie do wiary!

Niedługo potem regimentarz odjechał ze swoją kompanią. Kowal pośpieszył się.

Rzemieślnicy
dyskusem
przez historię

Gdy wyruszyłem z naprzeciwka podjechał do mnie jeden z orszaków regimentarza.

— Waćpan sam? Jedźmy razem.

— A Waści dokąd Bóg prowadzi? — zapytałem.

— Tak jak i waści. Przez stulecia w stulecia.

Jużem myślał, że to ktoś niespełna rozumu. Ale nie. Także zwał się Skryba. Opowiadał mi ciekawe rzeczy.

— Ten pan Cieński, to sławny żołnierz Jana Trzeciiego. Pod Wiedniem bił się, chodził na Tatary. O nim i jego córce po dwóch wiekach w Kaliszu i Srebrzku zupełnie zapomnieli. Była tu jeszcze mocarka w

tych stronach panna Barcka, ale wioski i lat nie pomnę. W poznańskim zaś województwie panna Grabowska jak ścisnęła orzechy w garści, to sok z nich wycekał.

— Chyba wielu takich moczary nie było.

— A byli. Waszmość pisałeś niedawno o łaźniach. Trzeba tam było wspomnieć o mazowieckim wojewódzie Ciołku. Na swoim dworze miał on wannę, w której się mogło kąpać razem kilku ludzi. Otóż syn tego wojewody, Staszko, będąc chłopcem, byłby dwóch dworzan na tamten świat wysłał, tak tłuścił ich głowy o siebie. Raz starsi bracia jego parzyli się w łaźni bez niego. Rozgniewany chwycił cały ten budynek, wyrzucił i nagich braci służbie pokazał. W Krakowie dzwon na ucho wziął i zaniósł pod drzwi kościoła.

— Chyba ten ci był niepokonany...

— W r. 1356 poszedł na Tatary i poległ jak wielu innych pod Włodzimierzem.

Gdy już się robił wieczer, rzekł mój nowy kompan:

— Napisz o tym cośmy mówili, żeby sportowcy w r. 1959 wiedzieli, iż dawniej nie było ułomków. I że niejednego tak zwanego mistrza niejednego działy wyrzuciłby z historii i sławy, jak ówch szlachciców panna Cieńska.

Rozesmiał się i zniknął na zakręcie.

Do dobrodzieja mojego pana Skrzetuskiego pojechałem o zmroku.

SKRYBA



Największe cygaro świata! Waży 9 kilogramów, a wypalenie jego musiałoby trwać 9 miesięcy. Wykonane dla Muzeum Tytoniowego w Buende, w Westfalii. Fot. — CAF

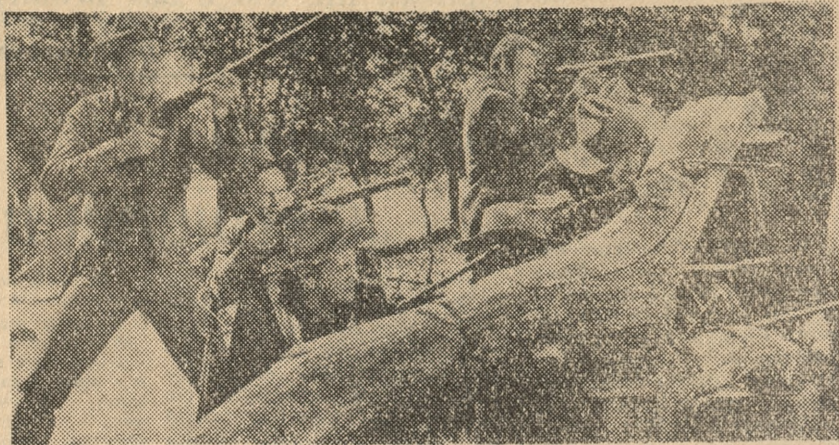
Jak długo trwa podróż dookoła ziemi?

Zależy — czym. Samolotem odrzutowym o napędzie atomowym moglibyśmy okrążyć ziemię w ciągu 28 godzin — lecąc z szybkością 900 km na godzinę. Na całą trasę wystarczyłoby parę kg uranu. Takie go samolotu jednak jeszcze nie mamy do dyspozycji. Obecnie stosowane typy samolotów, przy pobieraniu paliwa w czasie podróży z powietrznych cystern (a więc bez lądowania) musiałby użyć na podróż dookoła świata 50 godzin. Po wprowadzeniu do komunikacji rakiet podobno można będzie okrążyć ziemię w ciągu 3—5 godzin. Aż w głowie się kręci!

Tymczasem jednak najczęściej jeszcze stosowanym środkiem podróży dookoła świata jest okręt, którym można opłynąć ziemię... w kilka miesięcy...



54-letnia M. Stachlińska ze wsi Bobowa w pow. Gorlice nie sypia już od 10 lat. Wszelkie porady lekarzy nie odnosiły skutku. M. Stachlińska zapada w nocy jedynie w drzemkę, trwającą kilkanaście sekund. Bezsennie noce spędza przeważnie na czytaniu.



„Winchester 73” — karabin, który pod bił Dzikie Zachód to równocześnie tytuł amerykańskiego westernu z samym Jamesem Stewartem w roli głównej. Sygnę z wielu spokojniejszych nieco filmów aktor traktuje ponoć swój występ w filmie cowbojskim jako „trening dla zachowania formy i sportowego wyglądu”.

Film — jak widać na zdjęciu — pełen jest mocnych wrażeń, a także liryzmu i humoru. Amatorom sensacji na pewno przypadnie do gustu.

Traszkę

LEKARZ

Ma wielu ludzi w swojej pieczy — grabarza najdokładniej leczy!

PUNKT WIDZENIA

„Wszyscy przecież tego pragną!” rzekła żaba, skacząc w bagno.

Włodz. SCISŁOWSKI

Uśmiechnij się

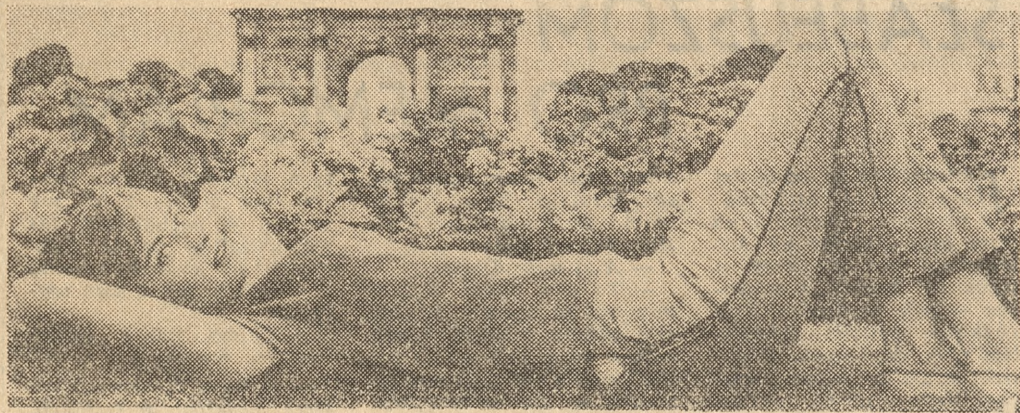
(zwłaszcza gdy jesteś kawalerem...)



— Chciałam się dowiedzieć, panie doktorze: czy już wyzdrowiał na tyle, że mogę się z nim nieco pokłócić?



— Chwileczkę, zaraz poproszę, mąż akurat wykonuje swoje ulubione zajęcie domowe...



fantazja CZY RZECZYWISTOŚĆ?

GŁOS MAJĄ ŚWIADKOWIE

W Caniston (hrabstwo Lancashire, Anglia) rankiem 15 lutego 1954 r. Stefan Barbishire i jego krewny Adrian Myer wyszli z domu na pobliskie wzgórze celem dokonania zdjęć. O godzinie jedenastej zauważyli przedmiot, który opuszczał się na ziemię ruchem wahadłowym. W odległości ok. 30 m od patrzących obniżył się zupełnie, znikając za wzgórzem. Gdy po chwili znowu się ukazał, wzlatywał skośnie do powierzchni ziemi. Nie zmieniając kąta nachylenia, z olbrzymią prędkością wzniósł się pionowo. Po kilku sekundach niktący jego obraz wchłonęły wysokie obłoki. Obserwatorzy twierdzili zgodnie, że przedmiot miał około 19 m średnicy i był kształtu odwrotnego spodka z półkulistą

nadbudówką, w której widniały okrągłe otwory, mogące uchodzić za okna. Całość dawała pozór dobrze wypolerowanego, szaro-niebieskiego metalu. Stefan Barbishire sfotografował statek, ale zdjęcie wypadło nieostre, gdyż obiektyw był nastawiony na mniejszą odległość.

Po ukazaniu się doskonałej książki astronoma E. K. Jessupa „The case for UFO” otrzymał on mnóstwo listów. Oto jeden z ciekawszych:

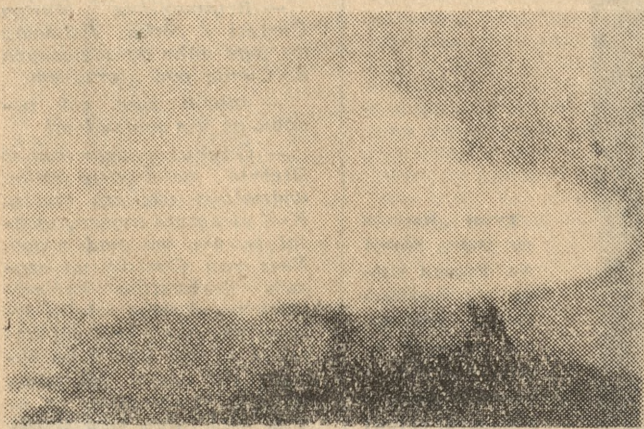
„Podam historię niesamowitą, za której prawdziwość jak najbardziej odpowiadam. 9 marca 1953 r. zobaczyłem wspomniany statek, który wkrótce potem wchłonął lecący właśnie samolot odrzutowy. Cała scena była widoczna z wielką dokładnością. Bardzo wyraźnie dostrzegłem oba obiekty: samolot i ten statek. Tak łatwo i po prostu uporał się z samolotem, jak

jastrząb wybiera kurczę. Za chwilę pomknął ku górze z przyspieszeniem zatykającym dech w piersiach; po dwóch sekundach od chwili startu, albo nawet przed, stał się niewidoczny. Sprawdziłem później u władz wojskowych, że istotnie jeden odrzutowiec wtedy zginął i nie został odnaleziony.

Z szacunkiem
Eugène Metelfe,
Paris, 19. 5. 55.”

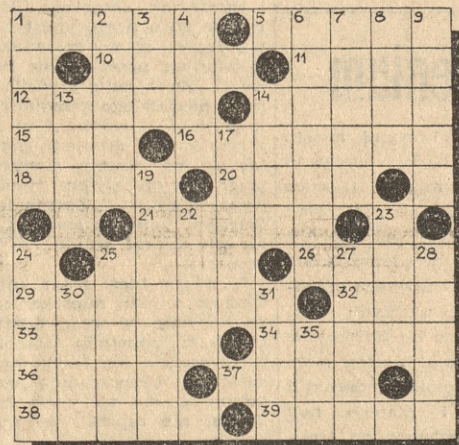
25 września 1952 r., instruktor skautowy D. S. Desverges wraz z trzema skautami znalazł się w lesie obok lotniska specjal-

nej eskadry szybkich myśliwców na Florydzie (USA), kiedy zauważyli błyski pomiędzy drzewami. Młodzi ludzie podbiegli w tę stronę i ujrzeni na niewielkiej polance przedmiot podobny do nieco spłaszczonej piłki futbolowej odwrócony w dół powierzchnią przekroju. Niezwykły obiekt miał średnicę około 10 m i nieruchomo utrzymywał się w powietrzu 3 m ponad ziemią. Był wysoki i na tyle przestronny, że w jego wnętrzu mogło stać sześciu — ośmiu ludzi.



Fotografia dokonana przez Stefana Barbishire w Anglii 15. II. 1954 r.

KRZYŻOWKA



POZIOMO: 1 — powijaki motyla, 5 — ostatni król Egiptu, 10 — nasymp — twierdza, 11 — dziesięć gramów, 12 — zły duch, 14 — pierwiastek ziem rzadkich, 15 — okres dziejów, 16 — strip - tease dzieła, utworu, zjawiska, 18 — tułów, 20 — byk, przedmiot kultu prekursorów Nassera, 21 — obłok kurzu, 25 — ulatuje z ukropu, 26 — pierwszy mąż, 29 — choroba nerwów, głównie w palcach, 32 — tu-recki naczelnik, 33 — rabin, 34 — miasto w Szwecji nad Zatoką Botnicką, 36 — wódka z ryżu, 37 — wysoko położone łąki, 38 — najwyższa budowla w stolicy, 39 — peklowany boczek.

PIONOWO: 1 — uczeń szkoły wojkowej, 2 — kłuje, 3 — przy-mykają je pobażliwi, 4 — dziewiąty stopień gamy, 6 — środek nasenny, 7 — nie rozstrzygnięty wynik, 8 — rozkaz carski, 9 — paci-rek, 13 — opiekun miłości, 14 — rów obłężniczy, 17 — modlitwa muzułmańska, 19 — przeciwieństwo dynamiki, 22 — powab, 23 — ciężar, 24 — chłop rosyjski, 25 — krę-cą nim kolarze, 27 — jalmużna, 28 — opera Massenet, 30 — opakowanie, 31 — gatunek rumaka, 35 — piwo angielskie.

Termin nadsyłania rozwiązań: 30 bm.

ALFABET HISTORIA ciekawostki

MOSCIEJEWO w pow. międzychodzki — posiadłość Należców z Szamotuł w XV w. Pisano wten-czas Moszczygiewo, w XVI w. Mo-szczewo. Od Mosćjeja.

MOSCISZKI pod Krzywinem od Mościesz. W r. 1246 zapisano jako Moztejsici.

MOSINA — w I rękopisie Bogu-fala Mosznia, w II rękopisie — Mo-szna. Tak samo nazywano wten-czas Obre, która ma tu jedno ze swoich dwóch ujść do Warty. W r. 1251 — miasto, o dwa la-ta wcześniej od Poznania (włas-ność królewska). W r. 1426 sołtys Adam z Mosiny był oskarżony o przynależność do sekty Husytów przed konsystorzem poznańskim. A że był krewki, w czasie prze-wodu sądowego zbił swego prze-ciwnika. W r. 1439 Władysław III Warneńczyk Piotrowi z Bnina za długi zastawił tzw. starostwo mo-sińskie, składające się z Mosiny, Pożegowa, Sowińca (Sowinek jesz-cze nie było), Krosna i Zabna. Kazimierz Jagiellończyk obciążył tę dobra na 700 florenów. W r. 1771 dobra te otrzymał Konst. Kwi-lecki, a dwa lata później — Ksa-wery Kęszycki.

Tu w r. 1659 na ul. Poznańskiej leczył się z tyfusu Jan Chryzo-stom Pasek, pamiętnikarz (tu też wyłysiał). W tym samym wieku proboszczowie mosińscy mieli za-targi z burmistrzami.

Niedaleko tego miasteczka w Wielkopolskim Parku Narodowym jeszcze dziś istnieje jezioro Skrzyn-ka. Jedno z podań mówi, że wtedy przejeżdżała bogaczka topiąc swo-je skarby. W rzeczywistości nazwa tego jeziora już była podana w r. 1358, a więc 601 lat temu; brzmiała ona wówczas nie Skrzyn-ka, lecz Krzynka. Legenda — jak widać — była silniejsza od zapi-sków. (jp)



Najmłodniejszy model fryzury na wiosnę.

A. TREPKA
(Dalszy ciąg za tydzień)